



Adam Cebula "Idea fantastyczna, nie polityczna"

nimfa bagienna

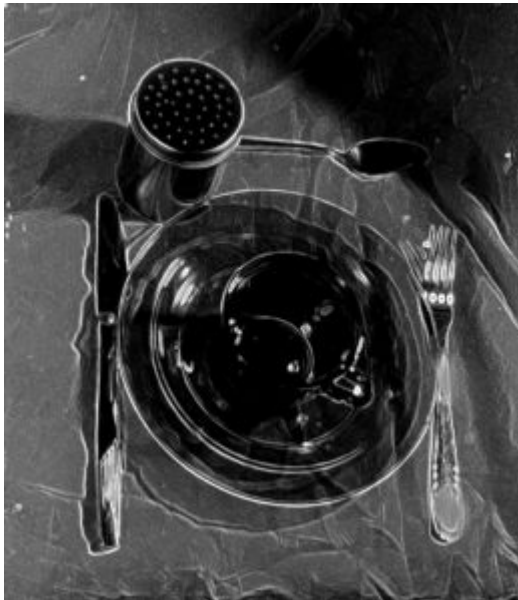


Foto: Adam Cebula

Mamy XXI wiek i tytuły w gazetach brzmią czasami jak wyjęte z powieści science-fiction. Ot, na przykład, że „roboty zabiorą nam pracę”. Coś na kształt informacji o buncie maszyn, tym bardziej gdy obok piszą, że zagraża nam „sztuczna inteligencja”. Jak? Likwiduje miejsca pracy. Tym, że w jakiejś przyszłości (jak wieszczą Stephen Hawking) może się zbuntować, fascynują się naprawdę nieliczni. Natomiast zjawiskiem, że AI potrafi już dziś skutecznie wykopać na przykład jakiegoś eksperta z jego etatu, co uważniejsi już od dawna się przejmują. Oczywiście jeśli są tymi ekspertami.

Jedna z największych trosk współczesności to bezrobocie. W kontekście informacji prasowych o tym zjawisku po raz kolejny musiałem się przekonać, że widzeniem świata przez miłośników gorszej literatury traktującej o czasami zbuntowanych, ale zawsze maszynach, jest coś inaczej. Zawsze mnie bowiem musiał zbulwersować taki drobiazg: doniesienia o błogosławionej funkcji jakichś przedsięwzięć, czyli tworzeniu miejsc pracy.

Bezrobocie to problem, ale robota to coś, czego człowiek od zawsze unika. Zawsze lepiej móc nie pracować. Absurdalność zmartwienia, że jakaś robota spadła z naszego garba, widać szczególnie przy okazji takich głęboko humanistycznych prób tworzenia miejsc pracy związanych z podejściem holistycznym i jeszcze kilkoma modnymi określeniami, dzięki którym nikt nic nie zrozumie. Takie przedsięwzięcia są z mojego punktu widzenia zwyczajnie naiwne, bo polegają na tym, że ludzie robią coś znacznie gorzej, niż do tej pory, i znacznie większym wysiłkiem, oraz że żadnej korzyści z tego nie ma, poza oczywistością, że niektórzy wierzą, że jednak jest.

Są takie pomysły z powrotami do natury jako głównym motywem, gdzie na przykład otwiera się klub dla wegetarian z żarciem wyprodukowanym przez jakąś grupę entuzjastów. Przekonują oni o nasyceniu ciasta pozytywną energią poprzez mieszanie rękami. Przedsięwzięcia tego rodzaju świadczą jedynie o tym, że wariatów na świecie nie brakuje, oraz... że brakuje za to sensownego zajęcia dla nieodpowiednio kształconych ludzi.

Po co ludzie pracują? W tej części Europy mamy ZAFIKSOWANE: aby zarabiać pieniądze. A pieniądze, jak wiadomo, są podstawą. Bez kasy nie ma nic. Za kasę jest wszystko, jak się nie kupuje i nie sprzedaje, to gospodarka leży, no i w ogóle. Myślę, że na tym „w ogóle” leży najsilniejszy akcent.

Piszący te słowa ma za sobą pewne doświadczenia, które burzą pewien prosty obraz: za komuny kasa była. Nie było to... dóbr. Za chwilę napiszę, czemu nie towarów. Otóż były słynne puste haki w mięsnych, człek chodził głodny i wpięprzony, bo miał i pieniądze, i nawet kartki na to mięso, jak były już kartki. Chodziło o to, by się nażreć. Może niekoniecznie osobiście, może chodziło o przyniesienie gnata dla rodziny, w każdym razie naonczas o wiele mniej zajmowały mnie pieniądze, a o wiele więcej DOBRA.

Z przyczyny owego doświadczenia wiem, że pomyśl, żeby pracować dla zarabiania pieniędzy, tyczy się sytuacji, gdy znaleźliśmy się w dobrze uporządkowanej gospodarce, w której kasa ma pokrycie w towarach, i że wcale nie takie oczywiste, że tak jest. Albowiem bardzo dobrze pamiętam, jak pracowałem nie dla pieniędzy, tylko dla zmagistrowania czegoś, czego na rynku nie było, i jedyną metodą posiadania tego czegoś było samodzielne zrobienie własnymi rękami. W odróżnieniu od rąk.

Mnie się zafiksowało coś innego, nie pieniądze: właśnie owe „dobra”. Coś, co jest potrzebne albo bezpośrednio, jak chleb i herbata, albo jest narzędziem. Doświadczenie komuny być może zrobiło mi krzywdę, bo nie mam imperatywu zdobywania pieniędzy także w kapitalizmie. Ciszę się dopiero wówczas, gdy uda mi się walutę zamienić na coś, co sobie upatrzyłem, i nikt mnie po drodze nie zrobi w jajo. Mam głębokie przekonanie, że istnieją różne drogi zdobywania czegoś, co mi jest potrzebne. Wymiana pieniędzy na to coś jest tylko jedną z wielu możliwości. Ależ tak, zwykle najbardziej wygodną, lecz niestety, jest dla mnie oczywiste, że pewnych rzeczy kupić się nie da. Przykład? Choćby lekarstwa na wiele chorób. Aby je mieć, trzeba, co za problem, je wynaleźć.

Spojrzenie zarówno z perspektywy komuny, jak i majsterklepki, powoduje, że nieodmiennie darzę wielką estymą wszelkie ludzkie działania związane z tworzeniem tego, co człowiekowi jest potrzebne. Największy szacunek mam dla owego „wynajdywania”, które jest konsekwencją poznawania także bardzo ciężkiej roboty. Ona zresztą w oczach bardzo wielu jest jedynie kosztowną i zupełnie niepotrzebną rozrywką bardzo sfiksowanych elit, które nie potrafią dostrzec, że dziś praktycznie wszystko, co nas otacza, jest jej wynikiem. W hierarchii wartości znacznie niżej od wynajdywania i poznawania stawiam samo wytwarzanie. Handlowanie dla marzyciela raketowych szlaków jest upierdliwą czynnością, której najlepiej było by uniknąć, tak jak mieszania chleba rękami dla nasycenia go pozytywną energią. To tylko jeden z możliwych sposobów dystrybucji, czasami świetnie działający, czasami totalnie zły, gdy na przykład wezmą się za niego spekulanci.

W moim pojęciu, naiwnym, bo ukształtowanym lekturą piśmideł dla dzieci (takich jak „Młody Technik”), tym, czym człowiek powinien się zajmować po pierwsze, to ulepszaniem procesu wytwarzania, tak aby wytwarzane było możliwie najmniejszym wysiłkiem. Jeśli już wiemy, jak zrobić, to w dzisiejszych czasach mamy już środki, które zaledwie jakieś trzydzieści lat temu były opisywane w science-fiction, a dziś nam pozwalają realnie pozbyć się człowieka z procesu wytwarzania. Bardzo często całkowicie. To między innymi fantastyczny postęp w informatyce, ale też w robotyce, w szeregu innych technologii, które pozwalają bez nakładów ludzkiej pracy tworzyć bardzo skomplikowane maszyny.

Nie zdajemy sobie często sprawy, jak bardzo technologia redukuje udział pracy człowieka. Pisałem już parę razy, lecz przypomnę: w końcu XIX wieku szacowano, że w produkcji żywności musi brać udział od około połowy do nawet 80% społeczeństwa. Współcześnie ta liczba spada wedle różnych danych do 2% , podawane są także liczby 1,2%, a nawet 0,8%(czy mniej). Prace rolnicze są systematycznie mechanizowane i udaje się wyeliminować ludzi z takich zajęć, które wydają się wręcz niemożliwe do przeprowadzenia bez człowieka, jego rąk i inteligencji, jak zbiór owoców z

jednoczesną selekcją na dobre i te gorsze oraz odpady.

To skażenie literaturą science-fiction kazało mi zawsze traktować z wielką – delikatnie mówiąc – rezerwą z ogniem w oczach kolportowane w środowiskach biznesowych twierdzenia, że „produkcja jest nieważna, ważna jest sprzedaż”.

Zapyziały czytelnik starych kosmicznych romansideł o niezłomnych astronautach, żyłem zawsze w przekonaniu, że jedynym czynnikiem, który ma zdolność przewracania naszego życia do góry nogami, jest technologia. Znaczenie ma to, co się dzieje w zakładach przemysłowych, jak konstruujemy urządzenia, jak się nimi posługujemy. Znaczenie mają wynalazki, wyniki badań naukowych. Tylko to ustawia ranking ważności narodów, tylko to stanowiło o wyjątkowości kontynentu zwanego Europą. Reszta to kit, dekoracja, pomocnicze urządzenia, które mogą być, ale nie muszą. Technologia przewraca stosunki społeczne, ustawia sposób zarządzania społeczeństwem, nawet stosunki międzyludzkie.

To technologia, a nie na odwrót, spowodowała rozwój społeczeństwa sterowanego pieniądzem. Tak, w pewnym momencie pojawiły się dobra, które do wytworzenia wymagały pewnych specjalnych umiejętności, a te nie każdy posiadał. Dość powszechne jest przekonanie, mamy nawet w tym temacie (kto pamięta, że zwrot ten jest nowomową z czasów zebrań partyjnych?) mamy stosowne wykopaliska, że zaczęło się od wymiany barterowej towaru za towar.

Wymiana towaru za pieniądź ułatwiła rozwój czegoś, co ekonomiści nieporadnie nazywają specjalizacją, w istocie technologii. Ekonomistom w głowach jednak już się nie mieści, że wysoka technologia może istnieć bez pieniądza. Dobra, które na pierwszy rzut oka wydają się niezwykle skomplikowane w wytwarzaniu, okazują się praktycznie dobrami wolnymi. Silnym przykładem jest tu choćby oprogramowanie. To z pewnością „dobro”, ale o tym, czy to towar, toczą się ciągle zajadłe dyskusje, toczone są bijatyki. Że oprogramowanie może być „wolne”, pokazują linuksiarze. Natomiast, że jego kopiowanie, czyli produkcja, powielanie wedle wcześniej utworzonego wzorca, praktycznie jest darmowe, to widać paradoksalnie po wprowadzaniu na siłę przepisów, które czynią z niego towar. Czyli coś, czym niektórzy chcieliby handlować.

O niedopasowaniu technologii do pomysłów na administrację współczesnym światem można by napisać tony tomów. Chcę się skupić tylko na jednym zjawisku. Na przekonaniu, że człowiek musi pracować, musi zarabiać pieniądze, i jedynie zdrowym sposobem na organizację społeczeństwa jest taki, gdy za owe pieniądze nabywa towar.

Niekoniecznie dobro. Słowo „towar” kojarzy nam się paczkami suszu albo białego proszku, ewentualnie tabletkami, które dodają wyjątkowego animuszu. Za handel towarem idzie się do paki na wiele lat, ponieważ dla nikogo nie ma wątpliwości, że to nieszczęście. Tak, są i tacy, co walczą o wolne konopie, aliści chodzi o to, że mamy takie towary i usługi, których zwyczajnie najlepiej unikać, choć wyśmienicie się nimi handluje.

Paradoksalnie, chyba najmniej toksyczne są te dodające animuszu. O wiele bardziej ludziom dała się we znaki produkcja towaru zwanego papierami wartościowymi. Okazało się, że można handlować obiecywankami. W odróżnieniu od obietnic, bo stopień wiarygodności inny. „A obiecywał, że się za mną ożeni” – mniej więcej taki.

W rzeczywistości chodziło o spekulacje. Owe papiery miały być świetnym towarem. Handel nim miał zapewnić świetlaną przyszłość bogatym krajom: USA i Europie. Wyszło z worka to sztywno: towar, a nie dobro, i do tego bardzo kiepski. Skutkiem zabawy jest trwający do dnia dzisiejszego kryzys, powracające czkawki światowej gospodarki, ból głów ministrów skarbu. W Polsce to ta katastrofa z okolic roku 2008 dobiła na cacy system emerytalny i jak widać, nie widać wyjścia do dnia

dzisiejszego.

Warto sobie uzmysłowić: dużo lepiej by się skończyło, gdyby ludność zamiast zajmować się banksterką, posiedziała sobie w domu na zasiłku socjalnym i totalnie nic nie robiła.

Niestety, bez pracy nie ma kołaczy, a kto nie pracuje, te nie je. Tymczasem technologia szaleje.

Jak wyeliminować sprzątaczkę z dużego magazynu, w którym jest mnóstwo przedmiotów o skomplikowanych kształtach i których okresowa odkurzenie byłoby bardzo czasochłonne? Na dodatek są to urządzenia delikatne, które takim pucowaniem łatwo uszkodzić. Co zrobić? Wpuścić jakiś skomputeryzowany odkurzacz? Rozwiązanie jest znacznie prostsze: zrobimy magazyn jako pomieszczenie bezpyłowe. To umiemy już dawno, zbudujemy szczelny budynek, dodamy do niego wentylację z filtrami i okaże się, że bez wielkich mecy i prostym łopatologicznym sposobem... mamy kilkanaście etatów z głowy. Jeśli dodamy do tego automatyczną obsługę magazynu, zwalniamy magazyniera, bardzo prawdopodobne, że i zaopatrzeniowca, bo towar „wyszły” jest rejestrowany przez oprogramowanie, które może z automatu powiadamiać dostawcę. Może nawet i kuriera, bo choć dostawa do mieszkania klienta za pomocą drona póki co nie działa, to jest to tylko kwestią czasu, by na przykład po mieście jeździły paczkowozy do paczkomatów kompletnie pozbawione obsługi jak automatyczne magazyny. Tak, to się stanie, bo dzięki rozszerzeniu możliwości technologii, która już istnieje, możemy się pozbyć człowieka - fatalnego, jeśli chodzi o niezawodność i wydajność.

Technologia eliminuje co chwila pracę ludzi, tej sensownej roboty jest coraz mniej. To, że ludzie wpięci w system gospodarki towarowo-pieniężnej wymyślą jakieś sposoby, by pieniądze zarabiać, to oczywiste. Będą produkować wróżby, leczyc magnesami, ładować ciasto na chleb pozytywną energią albo uprawiać banksterkę. Ale o tym, czy będzie jakieś sensowne zajęcie, decyduje jedynie postęp w technologii.

Mogę powiedzieć, że z pewnością roboty będzie coraz mniej. Owszem, jest praca durna, produkcja słabej literatury, słabej rozrywki, oszukiwanie ludzi zwane marketingiem. Pilne roboty do wykonania potrzebują wykwalifikowanych ludzi. Bez wątplenia programista zawsze ma lepsze rzeczy do robienia, jeśli tylko potrafi naprawdę grzebać w kodzie, niż jego optymalizacja. Tym niemniej, gdyby ktoś miał taki pomysł, że roboty nie ma, to ona jest zawsze, choćby taka. A taka nie jest głupia. Ot, na przykład, zdałoby się powalczyć z upraszczaniem kodu wszelkich programów. Można nawet powiedzieć, że to przydałoby się bardzo, bo nie tylko szybsze wykonywanie operacji daje użytkownikowi poczucie komfortu, ale można dopilnować, by po zakończeniu zadania procesor nic nie robił i nie pobierał prądu. Drobną różnicą mocy przemnożoną przez miliony maszyn na świecie i tysiące godzin ich pracy da jakiś spadek zużycia energii. Czy walczymy o emisję CO₂, czy tylko o całość sieci energetycznych, to jest krok we właściwym kierunku.

Optymalizacja kodu z pewnością zaoszczędziłaby ludziom wymiany sprzętu na nowy, bo stary już zatyka się choćby na przeglądarkach internetowych, zaoszczędziłaby czasu, zwiększyłaby możliwości, lecz nie robi się jej, bo słówko się rzekło: programiści mają potrzeby pilniejsze od pilnych.

Niestety, pożyteczną robotę są w stanie wykonać nieliczni. Reszta? Niech lepiej nic nie robi.

Tak sobie myślę, że tylko science-fiction jest w stanie otworzyć pewne zastawki w głowach. Powiedziałbym, że im wyższego lotu literatura, im mądrzej to wygląda w oczach przedstawicieli nauk społecznych, tym o technologii, technice i jej wpływie na społeczeństwo głupiej opowiada. Bardzo mądra, bardzo zatroskana społeczna publicystyka spostrzegła, bo wiarygodne dla niej ośrodki doradcze finansistów i banksterów (ach, to nie zawsze to samo...) zauważyły, że robotyzacja wpłynie na redukcję zatrudnienia. Zgroza!

Spadnie produkcja czy wartość handlowa produkcji? Otóż owi humaniści społeczni nie martwią się losem wyp... robotników, ich martwi, że polecą na twarz PKB.

Zabity miłośnik prostej rozrywki opowiadającej o maszynach jakoś nie może wpaść w rozpacz. Kochani, robotyzacja najwyżej może nam popsuć współczynniki wymiany handlowej. A PKB to wartość księgową. Jeśli maszyna wyprodukowała mi chleb nawet bez pozytywnej energii, za to też i bez wirusów ptasiej grypy, i przez to, że ów tani chleb można mi przywieźć jakimś dronem czy paczkowozem za darmo do domu, to niech mi przywiezie. Nie przejmować się, że za darmo, że nie było handlu i odprowadzonych podatków. I nie przejmować się PKB. Albowiem najadłem się i nie mam żadnych problemów. Moje potrzeby zostały zaspokojone. Jest dobrze, a nie źle.

Jeśli nie ma dla mnie sensownej roboty, to nie oznacza wcale, że nie mam prawa pobrać z Internetu najnowszej wersji systemu operacyjnego Linux Mint czy Debian, nie ma powodu, by mi nie rozdać chleba czy butów, zwłaszcza jeśli wyprodukowały je maszyny bez udziału pracy człowieka. Nie praktykuje się już dziś tego, że nie daje się bezrobotnemu leków, przeciwnie, prawo nakazuje rozdawnictwo takich dóbr jak opieka medyczna.

Rozdawnictwo za darmo nie musi zawsze oznaczać katastrofy. Mniej więcej od czterystu lat WMUSZAMY ludziom dobro zwane wykształceniem. Wmuszamy, bo bez przymusu ludzie go nie chcą przyjąć. Dopiero, gdy już zostaną przymusowo wykształceni, przyznają, że w sumie na dobre im to wyszło. Wszelako robimy to nie tylko za darmo, ale z dużym wysiłkiem.

A możemy tak robić z tej prostej przyczyny, że technologia mniej więcej od czterystu lat pozwoliła oderwać od roli część ludzi i skierować ich do innych zajęć. O dziwo to zajęcie jest usługą będącą rozdawnictwem.

Obawiam się, że proste fizyczne prawdy mogą dotrzeć jedynie do tych, którzy entuzjazzują się nie stosunkami międzyludzkimi, ale możliwościami maszyn. Jeśli coś jest produkowane nawet z udziałem pracy ludzkiej, lecz niewielkim, to rozdawanie tego, jak widać na przykładzie wolnego oprogramowania, nie tylko nie przynosi katastrofy, ale ma bardzo pozytywne skutki. A ludzie zwyczajnie nie muszą pracować. Dobrze, żeby zajmowali się czymś, byle pożytecznym. Jeśli to mają być usługi typu banksterka albo prawne bijatyki między koncernami o naruszanie patentów na zaokrąglone rogi prostokąta, to ich uczestników jak najszybciej trzeba odesłać do jakiejś piaskownicy, by nie robili szkód ludziom.

Ważna jest produkcja. Ważne są dobra, a nie towar, i jeśli dobra są dostępne, możemy zorganizować ich dystrybucję w sposób całkowicie niezależny od wymiany towarowo-pieniężnej. Nie wszystkich, nie zawsze, ale już dziś się to robi.

Czy ktoś potraktuje poważniej bajania osobnika zanurzonego w science-fiction? Takiego, co zachwycił się pomysłem Stanisława Lema, który opisywał „Vestranda Estelopedia, arkusz próbny gratis”? Cóż, kochani: stało się. Stało się jutro, są roboty, jest Wikipedia, i do tego całkiem gratis, na zawsze. Czas zrozumieć świat, który właśnie nadszedł.

Adam Cebula